

opusdei.org

Nowe horyzonty, a zaczęło się tak zwyczajnie

Rozmowa z panią Joanną Patorską, szczęśliwą żoną i mamą trójki dorosłych dzieci, Współpracowniczką Opus Dei z okazji 25 lat rozpoczęcia pracy Opus Dei w Polsce

08-12-2015

Jak poznałaś Ośrodek Opus Dei w Szczecinie blisko 25 lat temu?

Właściwie Dzieło przyszło do mnie. Zaczęło się od tego, że dom, który jest

po sąsiedzku mieli zasiedlić Świadkowie Jehowy. Po czym usłyszałam, że jednak ktoś inny jest lokatorem. Właściwie od tego momentu zaczęła się moja historia z Opus Dei. Zobaczyłam przemiłe osoby. Moją uwagę zwrócił przede wszystkim uśmiech dziewczyn, które tutaj były, one zawsze się uśmiechały. To mnie zaintrygowało. Nie należę do wścibskich sąsiadek, które od razu biegną i muszą się przywitać z nowymi sąsiadami. Jednak ten uśmiech mnie tak intrygował i jakoś tak wyszło, nie wiem, czy pretekstem było pożyczanie soli, czy jakiegoś produktu, w każdym razie poszłam. Dziewczyny mnie zaprosiły do domu. Na początku trudno mi było pozbyć się myśli: „Boże, to chyba jakaś sekta, bo niemożliwe, żeby były tak miłe i uśmiechnięte, żeby to była jakaś instytucja kościelna”.

Czy zaczęłaś uczęszczać na środki formacyjne, gdy poznałaś bliżej mieszkanki Ośrodka?

Nie od razu, bo powoli pozbywałam się nieufności, gdyż jak już wspominałam, dla mnie był to szok, że ktoś może cały czas być miły, mieć w sobie radość, roztaczać wokół siebie atmosferę czegoś, co przyciąga. Ale myślę, że akurat znalazłam się na takim etapie swojego życia, że coś mnie pchnęło tam i miałam szczęście poznania wspaniałych osób. Jedna z nich zaprosiła mnie na jedno ze spotkań formacyjnych. Poszłam z ciekawości i ze zdumieniem odkryłam, że moja wiara do tej pory to była taka nijaka, a przecież można być człowiekiem wierzącym, jednocześnie w pełni z siebie zadowolonym; że można przeżywać życie z taką naturalną radością, mimo napotykanych przeciwności. Mogę powiedzieć, że dziewczyny odmieniły zupełnie moje

spojrzenie, a nawet, że uratowały mnie i moją rodzinę, bo od tego czasu zmieniłam się jako żona, matka, chyba jako córka też. Gdzieś to zostało zainicjowane i cały czas dążę do tej doskonałości. To jest proces, który oczywiście nigdy się nie skończy, ale znam środki, możliwości, sposoby. Wiem także, że bycie osobą religijną nie kłóci się z byciem żoną, matką, koleżanką, przyjaciółką, że wręcz pomaga budować relacje pełniejsze, głębsze, oparte na solidnych fundamentach. Za to jestem wdzięczna.

Jak pomaga Ci nauczanie św. Josemaríi o świętości na co dzień?

Muszę zacząć od tego, że nauka Założyciela uświadomiła mi, że życie, małżeństwo, bycie żoną, matką, córką, przyjaciółką, koleżanką jest to wielka służba, ale nie w worku pokutniczym, tylko w ładnym ubraniu. I jeśli człowiek podejmuje tę

służbę, to ona przynosi, można powiedzieć, natychmiastowe owoce. Dla mnie namacalnym owocem jest np. to, że w rankingu mojego męża jestem najlepszą żoną, że stanowimy rodzinę, że dorosłe już dzieci chcą wracać do naszego domu, że mój mąż chce przebywać w tym domu i gdyby mógł, nie wychodził by z niego w ogóle. Że w przyjaźni i w ogóle w każdych relacjach z ludźmi nie skupiam się na sobie, a jednak zyskuję dla siebie bardzo dużo. Dzięki temu znalazłam się w hospicjum, w którym się realizuję, bo była we mnie właśnie chęć pomocy i wyjścia do drugiego człowieka. Dostrzegam, że przez tę służbę niejako ja staję się lepsza. Odkrywam prawdę, że im człowiek więcej daje tym więcej dostaje, jakby zwrotną, dobrą energię, którą potem wykorzystuje w domu i na swoim gruncie. Nauczanie św. Josemaríi pomogło mi również zrozumieć, że gdy się upada, nie ma nic w tym

złego, to nie jest jakaś porażka, tragedia, ale szansa, by zacząć od nowa i ogromna satysfakcja, jeżeli każdego dnia się podnosimy i z zapalem stawiamy czoło problemom, robiąc to z uśmiechem, z miłością. Siły do tego czerpię z wiary, która została ugruntowana w oparciu o naukę Założyciela Opus Dei. Tę siłę ja czerpię, a potem przekazuję ją mojemu mężowi, moim dzieciom, moim znajomym, przyjaciołom. Tak jak kręgi rozchodzące się po wodzie od wrzuconego do niej kamienia. I tak ja jestem takim pierwszym kręgiem, a potem to rozchodzi się na innych. Mam przynajmniej taką nadzieję. To są te najważniejsze rzeczy.

Jaką widzisz w rodzinie rolę pani domu, od której tyle zależy, jak mówił św. Josemaría, by nasze domy były jasnymi, radosnymi ogniskami i by społeczeństwo w ten sposób godnie się rozwijało?

Uświadomiłam sobie na jednych z pierwszych pogadarek, iż my kobiety mamy chyba w naturze to, że skupiamy się za bardzo na sobie, jesteśmy emocjonalne, łatwo nam przychodzi dzielić włos na czworo i we wszystkim widzimy problemy: „O rety dziś mam jeszcze to zrobić, tamto, owamto jeszcze ugotować, jeszcze wyprać”. To jest błędne podejście, bo zacząć trzeba od tego dla kogo my to robimy, czy to robię dla siebie, bo muszę, czy dla osób, które kocham. Jeżeli uświadomię sobie, że robię to dla osób, które kocham, będę starała się zaangażować w to bardziej, ale nie będzie to na zasadzie przymusu i stanie się wręcz przyjemnością. Przekłada się to również na ubiór. Często się zdarza, że kobiety w domu wyglądamy jak „papudraki” (młodzi tak mówią), a dla innych pięknie się ubieramy. Uświadomiłam sobie, że przecież dla najbliższych powinniśmy starać się pięknie

wyglądać, bo to oni są najważniejsi, a nie ludzie obcy.

My kobiety zapominamy, że ranga pracy w domu jest ogromna. Nie jest to kolejny Krzyż, który dostajemy w życiu, lecz coś pięknego, co jest częścią naszego życia, ale częścią wartościową. Nie zawsze musi być doceniana, ale nie chodzi tu o docenienie, bo w tym momencie to nasza próżność chce być połączona. A przecież tak naprawdę chodzi o to, żeby właśnie służyć swoim najbliższym. A jeśli już jest nam to dane, jest to piękne zadanie, i każdego dnia trzeba podejmować je na nowo. Oczywiście, człowiek czasami jest zmęczony, zniechęcony, ale tym piękniej ofiarować to zmęczenie, roztargnienie, chwilowe zniechęcenie, by przekuć to na coś dobrego. Nauczyłam się ofiarowywać te różne potknięcia, czy mankamenty wynikające ze słabości charakteru, wtedy momentalnie człowiek z

innym nastawieniem i zapalem przechodzi dalej i jest dobrze.

Dopóki nie zetknęłam się z Dziełem nie wiedziałam, że człowiek postawiony w małżeństwie, czy w danej sytuacji, w grupie ludzi, że w każdym środowisku może swoją pracą, swoim zaangażowaniem dążyć ku świętości. Myślałam, że jest to zarezerwowane tylko dla wybranych osób, a tu okazuje się, że nawet piorąc, czy gotując można się uświęcać.

W życiu nie ma przypadku i dziękuję Bogu, że Opus Dei stanęło na mojej drodze. Mogę tylko żałować, że tak późno, bo wiem, że dzięki nauce Założyciela stałam się lepszą osobą - może raczej moje dzieci i mąż powinni to powiedzieć - i z większą świadomością przeżywam moje życie. Poza tym zupełnie inaczej podchodzę do kwestii niesienia Krzyża. Każdy dzień przynosi nam

trudne rzeczy, ale człowiek ma w sobie tę nadzieję, ufność i taką świadomość, że robię to dla moich dzieci, tak żeby one też widziały, że wiara bez uczynków jest wiarą martwą. I faktycznie nie można się tylko modlić. Jeżeli za modlitwą nic nie idzie, to zatrzymujemy ją dla siebie, a nie chodzi o nas samych, tylko by dać przykład naszym dzieciom, nowym pokoleniom. I wydaje mi się - i ja się oczywiście cały czas tego uczę - że jest to proces długotrwały, ale mam ogromną tego świadomość i z tą świadomością oraz wiedzą, którą posiadam, każdego dnia podejmuję wysiłek, by zbliżyć się do Pana Boga. I dziękuję Bogu, że Opus Dei stanęło na mojej drodze, na drodze moich dzieci, męża, a na owoce trzeba poczekać. Taką mam nadzieję i ufność.

Na każdym kroku to sobie uświadamiam, że jestem szczęśliwa w mojej Wierze, i łapię się na tym,

jaka jestem dumna z tego, że jestem katoliczką, osobą wierzącą. To jest po prostu duma. Dotarło to do mnie niestety dopiero w ostatnim roku. Jest to niesamowite uczucie, zupełnie mi obce do tej pory, ale to co już mówiłam, ja się rozwijam i to nie jest proces, który się kończy po roku, czy dwóch, lecz to jest wezwanie, które będzie trwało i trwało. Dążenie do tej doskonałości jest celem mojego życia i owoce, które po drodze widzę i obserwuję, są największą satysfakcją. Mój mąż, czy moi najbliżsi są dla mnie motywacją do działań: ich uśmiech, dobre słowo, to że zauważą, już są nagrodą, że ten wysiłek nie idzie na marne. Bo ja nie krzyczę „Słuchajcie, jestem wierząca, dążę do świętości dlatego zrobiłam dla Was obiad!”. Czynię to z miłości, a uśmiech najbliższych to największa satysfakcja.

A to, że Opus Dei jest w Szczecinie, to nie przypadek? Jaka jest

perspektywa Dzieła w Szczecinie według Ciebie?

Myślę, że to nie jest kwestia Szczecina, bo każde miasto potrzebuje namacalnej obecności ludzi starających się żyć spójnie swoją wiarą w miejscu pracy, tam gdzie są.

Dziękuję bardzo za rozmowę.

AM

.....

Zobacz też 20 lat Bursztynu

.....

pdf | dokument generowany
automatycznie z <https://opusdei.org/pl-pl/article/wielka-zmiana-a-zaczelo-sie-tak-niepozornie/> (04-04-2026)